

ADAM HANUSZKIEWICZ jest człowiekiem ogromnie utalentowanym, jest artystą. Poza tym jednak ma piekielne szczęście. Ilu bowiem ludzi utalentowanych, ilu artystów skreśliło kark na takich samych lub podobnych przed-

Andrzej Jarecki



Szczyście z „Lalką”

sięwzięciach, które jemu udają się jedno za drugim i tak od samego początku, od kiedy objął dyrekcję Teatru Powszechnego: „Wesele”, „Zbrodnia i kara”, „Przedwiośnie”, „Wyzwolenie”... A teraz „Lalka” według Bolesława Prusa, we własnym opracowaniu dramaturgicznym i inscenizacji dyrektora, ze scenografią Xymeny Zaniewskiej. Znowu sukces! Jasne, że taki Publiczność nie będzie ani przez chwilę się wahała przed udzieleniem pozytywnej odpowiedzi. Aktorzy zadowoleni, bo gdzież można tak się wygrać jak w... (psst!) melodramacie? I tylko nieczłowiek będą kręcić nosami — jacyś tam poloniści, krytycy, wierni stróżowie czystości gatunków literackich, pozeracze adaptatorów powieści... Ale ilu takich jest? I kto na nich zwraca uwagę?

Talent Hanuszkiewicza (oprócz zdolności artystycznych) polega również na tym, że umie on brać swoje szczęście za głowę i zmusić, by mu służyło. Posuwa się w tym do metod niesłychanych: dużo pracuje, dokonuje niezłych adaptacji dramaturgicznych, starannie reżyseruje swoje sztuki, dobrze ustawia aktorów, dba o reklamę, o popularność swego teatru i jego pracowników. Osiąga w ten sposób zdumiewające rezultaty. Zdumiewające głównie przez to, że mało kto u nas podejrzewa w ogóle istnienie takich sposobów. Większość gotowa jest raczej przypuszczać, że Hanuszkiewicz wszystkie swoje sukcesy zawdzięcza sobie poprzez dobre stosunki z wysoce postawionymi osobistościami.

Kiedy człowiek z talentem solidnie pracuje, ma sukcesy. Tę prawdę warto sobie zapamiętać. Skoro już jednak mówię o Adamie Hanuszkiewiczu, nie mogę pominąć faktu, że ten człowiek z talentem miewa także chwile natchnienia. Coś go wtedy unosi, porywa. W jego doskonałych, solidnie opracowanych przedstawieniach pojawiają się elementy z innej materii, jak gdyby obce — choć właśnie po nich najłatwiej można poznać rękę Hanuszkiewicza. Najłatwiej — a to wcale nie znaczy, że najlepiej. Wiem, że w każdym jego przedstawieniu znajdzie się coś takiego, i zawsze wtedy odczuwam pewien niepokój. Bo wiem, że zawsze trochę przesadzi, zbyt wiele doda ognia, uczuć, sentymentu, nastroju, zapachu — i pokłóci się z racjonalnym porządkiem całości swojego własnego dzieła.

W „Lalce” takich chwil było bardzo mało, ale kiedy raz jeden Hanuszkiewicz odszedł od powieści i w natchnieniu oddał scenę szczerości między Wokulskim a Izabellą, w czasie której z ogniem w oczach wygarniają sobie kawa na ławę to, co wszyscy już odczuli albo jeszcze odczuwają w trakcie spektaklu — pomyślałem sobie, że to chyba niepotrzebne.

Chwalić mógłbym ten spektakl nieskończenie, bo bardzo mi się podobał. Znakomita scenografia — nareszcie normalne, prawdziwe kostiumy w teatrze. Aktorzy nie noszą na plecach symboli, ale zwyczajne fakiety. Kobiety ubrane są w stylowe suknie. Pesymiści i przedstawiciele klas upadających nie mają na szyjach zawlęczanych stryczków, lecz krawaty. I grają fantastycznie! Przede wszystkim Juliusz Łuszczewski w epizodycznej roli starego Szlangbauma, cóż to za kapitalna figura! Znakomity aktor przeżywa wspaniałą renesans swego talentu. Troje głównych boha-

terów przedstawienia to Ewa Wawrzon w roli Izabelli Łęckiej, Zofia Kucówna w roli pani Wąsowskiej i Marfusz Danuchowski w roli Wokulskiego. Całkiem przede wszystkim uderza, tych świetnie opanowane zawodu, które pozwoliło im zachować wprost idealną wierność wobec literackich pierwowzorów swych postaci z ukochanej przez wszystkich polskich czytelników „Lalki” Prusa. Jest to zapewne w części i zasługa wielkiego pisarza, który pisał swą najlepszą książkę takim językiem, że można nim rozmawiać i w życiu, i na scenie. Ale chyba wielką wartością przedstawienia jest fakt, że nie czuje się tu zwykłego w takich razach zgrzytu, gdy rzecz przedtem czytana ogląda się potem w teatrze czy kinie. A tu w dodatku idzie o książkę, z którą widz jest zaprzyjaźniony od lat, zwłaszcza widz warszawski.

Naturalnie, straciła ta „Lalka” wiele, nawet tytuł (Teatr Powszechny gra ją pod tytułem „Pan Wokulski”). Straciła wszystkie swe niepowtarzalne karty poświęcone Warszawie, straciła Rzeckiego i jego pamiętnik... Straciła także i przez to, że Hanuszkiewicz walcząc z melodramatyczną warstwą fabularną powieści, pragnąc ją uszlachetnić, uspołecznić i nasycić ideowo — przesadził z akcentowaniem tych wszystkich elementów „Lalki”, które na wszystkie strony wycowali wulgarni poloniści przed kilkunastu lat, szczęśliwi, że mają do czynienia nie z tajemniczym dziełem sztuki, jak sądzili, ale po prostu z dokumentem rozwoju kapitalizmu w Polsce po powstaniu styczniowym. Tej dokumentacji socjologicznej jest zbyt dużo w przedstawieniu. A dlaczego się bać melodramatu? Prusowi na pewno już nie nie zaszkodzi, a w teatrze melodramat jest zawsze na miejscu. Zresztą w wypadku „Lalki” głębszych treści, i to jak najbardziej ważnych dla nas, dla naszego kraju — zostałyby i tak jeszcze na trzy, cztery sztuki.

Wracając do aktorów, nie można pominąć Tadeusza Janusza w przedśmiśnym epizodzie fryzjera Fitoluskiego, Seweryna Butryma jako katecheta z refrenem o „niezadowolonym kraju” na ustach, Józefa Pierackiego jako Łęckiego, Tadeusza Czechowskiego w roli Starskiego, Gustawa Łaskiewicza jako doktora Szumana, Leszka Ostrowskiego, jako okrojonego Rzeckiego, Janusza Bukowskiego jako Mraczewskiego, Czesława Jarczyńskiego w roli Ochocznego. Z pań trzeba wymienić Elżbietę Wiczorkowską w roli Flory.